

Emigracja *w stylu alpejskim*

Wydaje się, że większe to lepsze. Płaskie myślenie. Człowiek często daje się wpuścić w pułapkę pozorów. A góry są przeciwieństwem jak ludzie – wygląd zewnętrzny, forma to zaledwie wstęp, który może co najwyżej zachęcać lub zrażać do wejścia głębiej.

Materia nieożywiona i jej energetyczne wibracje. Klimat miejsca – coś, o czym mówimy często, co czujemy, a czego nie widać. Tajemnica.

Trudno do końca zrozumieć własną decyzję. Tatry, zawsze tak jedyne, tak

Listopad 2003. Porzucam Zakopane. I Tatry. To nie ucieczka. Zamieniam góry... na Góry. „Trwaj i wciąż szukaj, a w końcu odnajdziesz drogę”. Wraz z Filipem mamy wykiełkować na włoskiej ziemi, u stóp zniewalającego ogromem Monte Bianco. King size...



wymarzone... A jednak nawet tu coś każe bez ustanku myśleć o przygodzie, każe wyjeżdżać za wszelką cenę, choćby autostopem, zimą, bez zabezpieczenia, bez kontaktów, bez planu, choć z nadzieją...

Tak więc pakujemy wory i w drogę; nie na chwilę – na zawsze. Serce ściśnięte bólem, ale drży z niecierpliwości. Ambivalencja uczuć. Wiatr zmian. Bo to ma być emigracja.

Zabieramy wszystko, choć tam nie czeka na nas żaden kąs. Samochód kolegi, załadowany po brzegi, to nasza „taksówka po kosztach” – my płacimy tylko za benzynę – kolega chce zobaczyć Mont Blanc. Ma przed sobą 1500 km tam i 1500 km z powrotem. Dla Filipa i mnie powrotu nie ma. Dla nas istnieje już tylko TAM. Żadne z nas nie potrafi tego do końca wyjaśnić,

nawet nie próbuje. Bo przecież nikt nas stąd nie wyrzuca, Tatry stoją, jutro będzie podobne do dzisiaj, to nie wrzesień '39 ani grudzień '81.

Zostają góry, przyjaciele, wspomnienia; korzenie już zapuszczone, i to nie te z krwi, po przodkach, ale korzenie duszy wrosły mocno w granit Zamarłej, filary Ganku, giną w Rysach i za konturem Saturna... Trzeba je będzie wyrwać, ale to zrozumieć później. I będzie bolało...

Czas jechać. Bo to ma być emigracja.

* * *

Błędnik czasoprzestrzenny uszkodzony, miesza mi się wszystko. Myśli o przeszłości z terazniejszymi. Jedziemy tą „taksówką” w nowy świat, płacząc, choć nie ma za czym, burza wspomnień... No i wracam pamięcią do początku tej emigracyjnej historii...

Jest **lipiec 2002**. Chamonix, Francja, Mistrzostwa Europy we wspinaczce sportowej. Filip jako członek kadry narodowej przygotowuje się do startu. Dzień przed rozpoczęciem zawodów sprawdzamy – nie ma go na liście zawodników! Ktoś zawałił... Tego jeszcze nie grali. Ale teraz nie da się już nic zrobić. Miesiące przygotowań, treningów, wyrzeczeń. Wszystko na damo.

Idziemy na Mont Blanc, by choć trochę osłodzić tę gorycz. Rozsądek nie ma tu nic do powiedzenia – prawdopodobnie nie tak powinno wyglądać zdobywanie najwyższego szczytu Europy, ale z emocjami się nie wygra. Ciekawe, ilu zdobywców Białej Góry było motywowanych rozżaleniem?

Ruszamy z poziomu 1000 metrów n.p.m., z Les Houches – bez wsparcia tramwaju Mont Blanc, bez aklimatyzacji, za to ze śpiworami, namiotem, jedzeniem na pięć dni (Filip nie lubi głodować), czterema parami butów i dziesiątkami innych niezbędnych rzeczy. Jest 19.00, słońce mówi dobranoc. Chcemy dojść nocą powyżej górnej stacji tramwaju Le Nid d'Aigle i tam gdzie rozbić nasz mały namiot. Po kilku godzinach marszu docieramy – rozkładamy legowisko i... pęka stelaż. Filip na poczekaniu tworzy konstrukcję pierwszej pomocy, jak chirurg ortopeda. Zapadamy w sen.

Rano budzą nas tłumy sunące z Le Nid d'Aigle do Tete Rousse – w nocy nie było widać, że rozbijamy się na szlaku... Nie wygląda to za dobrze, ekspresem zrywamy buty, obserwowani przez pasące się obok koziorożce. Przy Tete Rousse zmiana de-

koracji: wyciągamy ciężkie buty, zakładamy raki. Pakunek z niepotrzebnych wyżej rzeczy łąduje pod kamieniem. Potem słynny Żleb Spadających Kamieni, grzęda Gouter i o zachodzie słońca dochodzimy do schronu Gouter, pękającego jak zwykle w szwach. Wiedzieliśmy, że tak będzie, ale nie na darmo taszczyliśmy nasze ciężary. 20 metrów powyżej zakładamy wygodny biwak i mamy w nosie tłok w schronisku.

Czuję się świetnie, och, jak wspaniale... mantruję sobie w myślach. Staram się nie przypominać o tym, że nie mamy aklimatyzacji. Czaruję własną psychę. Niestety z wnętrza drugiego śpiwora odzywa się głos Filipa:

– Jak się czujesz? Bo ja nie najlepiej... Mam jakiś problem z płucami.

– E, co ty, naczylaś się o tej chorobie wysokościowej – bagatelizuję. Niemożliwe, żeby to było już TO, nie jesteśmy nawet na czterech tysiącach...

Czuję się świetnie, och, jak wspaniale... mantruję dalej. Jednak już bez przekonania. W końcu zasypiam.

Pobudka o 3.00, Filip zdaje się być w dobrej formie. Pozytywne myślenie postawiło go na nogi. Trochę gorzej ze mną, czuję się zmęczona i bez energii. Mantrowanie pomogło, ale nie mnie. Przez uchylone wejście do namiotu widać świetlistą karawanę czołówek – to dziesiątki turystów idą ze schroniska w kierunku Dome du Gouter na podbój Białej Góry. Nie chce nam się jeść, zbieramy się bez pośpiechu. Półtorej godziny później też jesteśmy w drodze na szczyt.

Coś w tym zdobywaniu jest. Organizm się buntuje, ale to nie ma znaczenia. Piękno przedsięwzięcia, jego niecodziennosc, jego jedynosc pokonuje słabość ciała. To tak, jakby słuchać jazzu po drugiej butelce wina... Wszystko ci jedno. „Sam możesz wybierać los. Sam możesz wejść na szczyt”.

W okolicy Vallota sytuacja zaczyna ulegać zmianie, Filip narzeka na palący ból płuc. Chcę wracać. Kobiety pewnie stoją na ziemi. Ale nie z Filipem te numery. Takiego zacięcia nie spotkałam nigdzie, ma posmak szaleństwa... Po trupach, ale dojdziemy. Jego upór zaczyna taniec z moją miłością, czy jak to zwać. Żadne z nas nie odpuści... choć może nie dziś – za wysoko na spory. Ok, poddaję się. Mont Blanc za wszelką cenę? – miejmy nadzieję, że nie.

Ciemność. Nic nie widzę. Czarno, a powinno być białe, bo tu jest przeraźliwie białe. Pewnie okulary mi przyprószyło. Aha, nie mam okularów. Gdzie są moje okula-



ry?! Pod kurtką – tylko spokojnie, załóż, bo oślepniesz. W zasadzie to i tak wszystko jedno, czarno czy biało – idzie się tak samo. No i nie prószy. Toczę się, skrzypię. Rany, jak niewygodnie, kwadratowo. Nie wiem, co się dzieje, organizm niby znieczulony, ale wszystko i tak męczy, boli, uwiera. Ewentualnie coś jest nie tak, chcę wrócić do stanu wyjściowego. To chwilowo niemożliwe – jestem powyżej 4300 metów. - I idę na Mont Blanc. Nie mam aklimatyzacji i nic do powiedzenia, choć to moje ciało, moje emocje i mój ból.

Na grani szczytowej brak aklimatyzacji przenosi nas prawie na tamten świat – Filip ledwo oddycha, a ja ledwo idę. A zaraz potem SZCZYT, nie da się już iść dalej. W dole Chamonix, dolina l'Arve, masyw Fiz, Aravis – to Francja; a po drugiej stronie włoska Dolina Aosty. Widzę ją po raz pierwszy, nie wiem nawet, że tak się nazywa, nic nie wiem... Nie przypuszczam, że już za rok to będzie mój dom, moja nowa ojczyzna. Zaglądam tam z góry, jak ptak poszukujący miejsca na założenie gniazda. Ale to dzieje się nieświadomie, poza mną...

Druga odsłona, **kwiecień 2003**. Wracamy z Portugalii po półrocznych wozach wspinaczkowych. Autostop, sto dwudziesta piąta okazja (co Filip skrzętnie notuje w annałach podróży). TIR bierze nas z drogi powyżej Chamonix, tuż przed wjazdem do tunelu pod Mont Blanc... 11 611 metrów w łonie Matki Ziemi, a po drugiej stronie słoneczna Italia. Wyjeżdżamy z czarnej dziury prosto w księżycowy krajobraz. Gdyby się dało, runęłabym na kolana... Przede mną strzelista Aiguille Noire de Peuterey, poszarpany lodowiec Brenva i ostre iglice Angielskich Dam. Ci szaleńcy wyryli tunel w sercu najwyższego masywu Alp! Nie wiem, czy płakać (dusza ochroniarska we mnie jęczy), czy się śmiać, więc siedzę urzeczona. Niestety TIR z właściwym sobie brakiem szacunku dla piękna mknie w dół, nie zostawiając czasu na kontemplację. Za chwilę jesteśmy już w centrum Courmayeur, włoskiego odpowiednika Chamonix. W dole widać wielką halę sportową, z którą Filip zaznajomił się kilka lat wcześniej – tam, na jednej z największych ścian wspinaczkowych Europy, rozgrywały się w 1999 r. Mistrzostwa Świata Juniorów. Jego z kolei, tak jak mnie przed chwilą widok południowych zboczy Mont Blanc, urzekła swego czasu ta sztuczna ściana.

Do końca podróży do Polski nie rozmawiamy już o niczym innym: Courmay-

eur rzuciło urok. Postanawiamy – choć na razie przypomina to bardziej grę w „Euro-biznes” niż real – że TU będzie nasz dom. Brzmi to tak absurdalnie, że nawet my w to nie wierzymy. Wiemy tylko, że wiara czyni cuda.

Odsłona trzecia, **lipiec 2003**. Znow w Dolinie Aosty. Kolejny wspinaczkowy wyjazd, połączony z rozpoznaniem terenu. Miejsce jest niesamowite, trudno o podobną różnorodność. U wylotu doliny palmy i klimat śródziemnomorski, górne partie to lodowce, których kulminacją jest Monte Bianco. W bocznych dolinach Monte Rosa, Matterhorn, Gran Paradiso i kilkadziesiąt innych czterotysięczników. Naszym punktem zaczepienia ma być Courmayeur, no i sztuczna ściana w Centro Sportivo, ta o której śni Filip. 13 metrów wysokości i 23 metry dachu. Chcemy się tam powspinać i ze zdumieniem stwierdzamy, że jeden z największych europejskich obiektów wspinaczkowych bardziej przypomina ruiny jakiejś rzymskiej budowli, gdzie – jak reminiscencje dawnej świetności, straszą panelowe potworki – kilka zaledwie dróg, pamiętających zawody sprzed czterech lat i przeraźliwa pustka. Nie do wiary... Courmayeur, włoski odpowiednik Chamonix, nie stawia złamanego szeląga na wspinanie sportowe. Szybkie śledztwo – Filip zna francuski, więc w dwujęzycznym regionie północnych Włoch radzi sobie całkiem nieźle – ścianą zajmują się przewodnicy alpejscy z Courmayeur, których specjalnością jest narciarstwo. Co widać.

Każdy jest kowalem własnego szczęścia. Nie tracimy czasu. Filip próbuje umówić się z prezydentem przewodników alpejskich z Courmayeur, który podejmuje decyzje dotyczące ścian. Luca Ferraris to tutejsza gruba ryba i wielki cwaniak – właściciel wielu nieruchomości, przewodnik, dobry wspinacz sportowy, architekt, którego wypieszczonym dzieckiem jest ściana w Courma. Spotkanie, ustalone na godzinę 17.00, nie dochodzi do skutku – Ferraris po zastanowieniu nie widzi powodu, dla którego miałby poświęcić choć minutę nieznanemu polskiemu chłopcu. Filip jednak nie odpuszcza. Czekamy do 21.00, aż prezydent skończy posiedzenie w Societa delle Guide Alpine... Ukryci w ciemnym zakątku naprzeciw budynku należącego do przewodników, obserwujemy Lucę, który właśnie toczy pasjonującą dyskusję z kimś z branży. Spocona z wrażeń dłoń Filipa mówi mi, że nie ma żar-

tów. Zagrywka *va banque* – albo ryba połknie haczyk, albo możemy zacząć szukać szczęścia gdzie indziej. Filip ma ideę „rozkrećenia” ściany, ale za to muszą zapłacić przewodnicy... Czy nikomu nieznanemu Polak, podróżujący autostopem, ma szansę wzbudzić zaufanie kogokolwiek?

Następne pięć minut to jedne z najważniejszych chwil naszego życia. Jak Filip to zrobił i jakich słów użył – nie wiem, ale o 21.10 było już po wszystkim... Dzień później byliśmy w posiadaniu kluczy do magazynu przewodników na ścianie, a Filip rozpoczął układanie nowych dróg. Niebawem podpisał z przewodnikami umowę na sierpień.

Pierwszy wrzesień 2003. Nagle zniknięcie tysięcy czasowiczów i upiorne tego skojarzenie z siłą rażenia broni biologicznej. Nie widać żywej duszy. Tak właśnie wygląda sezonowość pracy. Jesień u stóp Monte Bianco cała dla nas, choć nie



można zapominać o trzech tysiącach starych mieszkańców Courmayeur, którym pewnie też się tu podoba. Ale dla nich ważniejszy jest szmal. To cecha charakterystyczna większości *Valdostano*, rdzennych mieszkańców tych okolic. Mamy teraz dużo czasu – studiujemy skomplikowaną historię tych terenów. Przez wieki cały masyw Mont Blanc należał do Casa Savoia – Księstwa Sabaudii, gdzie językiem urzędowym był francuski, a górale mówili w *patois*, języku frankoprowansalskim. Po 1861 r. południowe stoki Białej Góry przeszły w ręce zjednoczonego Królestwa Włoch i tak już zostało. Jednak w praktyce francuski nie wystarcza, do względnej asymilacji z miejscowym ludem trzeba nauczyć się włoskiego. Trzeba też znaleźć dom i pracę... co w wyludnionym jesiennie *Courma* jest chyba nie do zrobienia. To trochę tak jakby chciał zamieszkać w Dzianiszku, z taką różnicą, że opłata za wynajęcie mieszkania wynosi miesięcznie 1000 euro.

Pryszcz.

Konfrontacja z tak zwanym martwym sezonem jest brutalna, mój optymizm w kwestii zaczepienia się tu na stałe z każdym dniem września maleje. Jesienne liście coraz grubszą warstwą pokrywają nasze plany związane z rozkręceniem ściany i pracą przewodnicką. Oby nie stracić całego animuszu... Wyjeżdżamy do Polski.

* * *

Oddalenie od Courmayeur i powrót do kraju wzmagają naszą determinację. Analogia do wspinania – im dalej od celu, tym przekonanie o zwycięstwie większe. Różnie optymizm. To nic, że nie znamy włoskiego, nie mamy mieszkania, pracy, złamanego grosza na start (nie wiem, czy starczy na podróż). Chcieć to móc. Wiara jako siła napędowa. A nie jest to wiara w siłę pieniądza. „Nie można służyć Bogu i mamonie”. Idziemy na całość.

* * *

I tak mroźnego listopadowego wieczoru

2003 r. zjeżdżamy z całym dobytkiem do Centro Sportivo. Pieniądzy nie starczyło nawet na transport – musimy się zapożyczyć, by „taksówka” mogła wrócić do Polski. Pusto, zimno i pachnie krowim łajnem – *Valdostano* używają najcenniejszym nawozem swe pastwiska. Nie ma mowy o rozbiściu namiotu (to był nasz plan awaryjny – zresztą nie wiem, na co liczyliśmy: na komitet powitalny, fanfary i apartament w Hotelu Royal?). Chcieliśmy przeżyć skok na głęboką wodę – no to mamy. Tylko gdzie teraz płynąć, gdy wokół otchłań... Ratuje nas klucz od magazynu przewodników. Wnosimy tam nasze rzeczy. To, co robimy, jest zabronione i nikt nie może o tym wiedzieć. Łatwo mówić... Co gorsza nikomu nie wolno nocować na terenie Centro Sportivo, a tylko taki pomysł przychodzi nam do głowy. Ukrywając się, przeżywamy w ten sposób dwa dni, ale to jakieś szaleństwo. Nie po to tu przyjechałam, by żyć jak kloszard. Siedzimy w pu-





chówkach i czekamy na gwiazdkę z nieba.

Trzeciego dnia w południe Filip spotyka się na chwilę z Ferrarisem. Luca kulturalnie nie pyta, gdzie nocujemy. Mówi tylko, że absolutnie nie możemy spać w Centro Sportivo – Societa delle Guide może mieć w związku z tym problemy w Urzędzie Miasta, do którego należy budynek. O ewentualnej pracy pogadamy, gdy spotkamy się na ścianie.

Nerwy mamy już w strzępach, a jeszcze nie zaczęliśmy tu żyć. No i kto wypije to piwo, którego nawarzyliśmy?

Wieczorem fortuna zaczyna się uśmiechać, Luca zaprasza nas na pizzę! Jedziemy w piątkę, razem z jego przyjaciółmi Alessandro i Daniela, niezwykle sympatyczną parą. Opowiadam im naszą historię. Alessandro kiwa głową z empatią, swego czasu przejechał cały świat w poszukiwaniu przygody, był nawet na Biegunie Północnym, choć najbardziej dumny jest z podróży rowerem przez Afrykę. Daniela to pani psycholog, znająca *perfect* cztery języki. Pytają, gdzie mieszkamy... robię ręką nieokreślony, kolisty ruch... i rozumiemy się bez słów. Chwila konsternacji – nawet nie biorę pod uwagę TAKIEJ opcji, przecież dopiero się poznaliśmy – jednak to prawda! Daniela i Alessandro zapraszają nas do siebie! Wszyscy mamy łzy w oczach, Filip jeszcze o niczym nie wie, zajęty rozmową z Lucą...

Po kolacji jedziemy do Centro Sportivo zbieramy manatki i przenosimy się do najdroższej części Courmayeur, Verrand. Alessandro jest właścicielem kultowego drewnianego domku z wielkimi oknami z widokiem na Mont Blanc. Dostajemy do dyspozycji pokój i pozwolenie na korzystanie ze wszystkiego. *Królewicz i żebrak* Twaina, ulubiona książka z dzieciństwa, a teraz podobna zamiana ról. Dziwne.

* * *

Styczeń 2004. Wciąż u Alessandro i Daniela. Gościnność, delikatność, dyskrecja – i nic na pokaz, oni po prostu tacy są. Mamy wyrzuty sumienia, już dwa miesiące rezydujemy w ich chatce z bajki, a w Courmayeur pokoju na naszą kieszeń ciągle nie udaje się znaleźć. Za nami różne prace na czarno, niestety żadna w branży... Tania siła robocza. Ciężko znaleźć coś ciekawego, nie znając języka. Nie ma mowy o treningu i chodzeniu po górach. „Frycove”, które płacimy, to chwilowa (mamy nadzieję) rezygnacja z naszych pasji i aspiracji. Pocięchą są widoki na Monte Bianco, jedno z „najdroższych” w Europie. Polska nie jest jeszcze w Unii i z tego powodu zaczynają się dodatkowe problemy; stały kontrakt Filipa z przewodnikami powoli przemienia się w niedostępną fatamorganę. Pomoc Alessandro, który jest adwokatem, nie wystarcza – urzędowe przeszkody zdają się nie mieć końca. By podpisać kontrakt, trzeba mieć pozwolenie na pra-

cę, żeby je otrzymać, potrzebna jest karta pobytu, a tę dostaje się wtedy, gdy ma się pracę. Kwadratura koła. Dodatkowo wymagane jest zameldowanie i plan domu z wyznaczonym pokojem z osobną (sic!) łazienką. Pomimo tych przeszkód Filipowi udaje się zameldować u poznanego niedawno Antonio, którego żona nie wie nic o fikcyjnym lokatorze. Pozostaje liczyć na to, że kontrola nie pojawi się u nich w nieodpowiednim momencie – to znaczy – nie pojawi się w ogóle. Filip dostarcza do urzędu niezbędne papiery i dowiaduje się, że przepisy się zmieniły – łazienka może być wspólna, ale teraz konieczny jest meldunek u przewodnika. Absurd!

Niebawem przeprowadzamy się do Luki, ufamy, że tylko na chwilę – niestety okaże się, że na siedem miesięcy... Nikt z jego znajomych nie może w to uwierzyć. Luca w środowisku ma opinię skąpca absolutnego, który nie robi nic z porywu serca. A jednak... To chyba z sentymentu dla wspinaczkowej pasji Filipa.

* * *

Ciągły stres osłabia, najgorsza jest świadomość niebycia u siebie. I ta rozdzierająca, trawiąca mózg tęsknota. Wśród alpejskich olbrzymów oczy szukają kształtów Lodowego, Wysokiej, Mięguszy. Marzę tylko o jednym – wrócić znów pod Giewont. Wiem, że to tylko chwile słabości, ale... „Żadne z gór nie były mi tym, czym Tatry”. Zdanie Karłowicza, jak przekleństwo.

* * *

COŚ w nas szeptę, że w końcu uda się znaleźć własny ką. Nastawić uszy na ten głosik i wierzyć mu. Trudne. Bo wysiść z czasem.

Są też sukcesy. W maju Filip startuje w Pucharze Świata we wspinaczce i po raz pierwszy przechodzi do półfinału. Pojawia się propozycja prowadzenia w sezonie letnim ściany wspinaczkowej w Villeneuve. Zaczynamy mówić po włosku.

Tylko wciąż nie mamy gdzie mieszkać.

* * *

Wrzesień 2004. Wyprowadzka od Lukki. Szukamy rozpaczliwie czegoś do wynajęcia, a tymczasem rozbijamy namiot nad Centro Sportivo, w stromym modrzewiowym lesie. To oczywiście zabronione. Ale nie ma wyjścia. Pracujący bezdomni – ciekawostka socjologiczna. Grunt pali się pod nogami, a nadchodzi kolejna jesień. We wnętrzu namiotu pełna puszcza piwa i liścik od jakiegoś fana z gratulacjami za styl życia. To nas bynajmniej nie pociesza – mamy dość. Ruszamy w góry, one zawsze były ratunkiem. Schroniska o tej porze roku są już zamknięte, ale prawie w każdym znajduje się tzw. *invernale* – pomieszczenie awaryjne dla turystów. Czyli dla nas –

my, turyści życia. Do pracy schodzimy cztery razy w tygodniu. Mimo nieustannych trudności w pewien dziwny sposób czujemy się szczęśliwi. Pusto, trawy zrudziały jak na Czerwonych Wierchach. Tylko kozic więcej i świstaków. Są też *stambecco*, alpejskie koziorożce. Zaczynam lubić te Alpy. Przeżyte doświadczenia uczą – warto mieć przekonanie o słuszności własnej sprawy i walczyć o nią do końca. Oczywiście można odwrócić się na pięcie i uciec, choćby autostopem, do Polski. Ale nie o to biega. Rzecz w tym, by wytrzymać – nic, co wartościowe, nie przychodzi bez bólu.

* * *

Człowiek potrzebuje świadomości, że panuje nad sytuacją. Że w taki czy inny sposób trzyma ją w garści. Gdy z jakiś przyczyn to przekonanie zaczyna drzeć w posadach, niektórzy poddają się, podczas gdy dla innych rozpoczyna się nowa era. Zniszczenie złudzenia własnej wszechmocy bywa źródłem depresji i chorób psychicznych, może też stać się punktem wyjścia ku innej wizji świata. „Nie usiłuj naginać wydarzeń do swej woli, ale naginaj wolę do biegu wydarzeń”.

* * *

„Najpierw cię ignorują. Potem śmieją się z ciebie. Później z tobą walczą. Później

wygrywasz”. Tak też było z nami. Od tamtych trudnych chwil minęły lata. Lata na emigracji. Mówiąc językiem ekonomii – opłacało się. Słodki smak zwycięstwa, satysfakcja. Zacząć od zera i dotrzeć do celu. W stylu alpejskim, bez obozów pośrednich, bez wsparcia. Dotrwać. Do-wierzyć. Siedzę na balkonie, u siebie, piję kawę. Patrzę na Mont Blanc – to tam, na szczycie wszystko się zaczęło. Teraz już nie muszę wybierać: Zakopane, Courmayeur czy jeszcze gdzieś indziej. Plusem naszych czasów (choć ma to i swoje złe strony) jest odebranie przestrzeni jej znaczenia. Odległość przestała być dyktatorem. Od Tatr dzieli mnie już nie 1500 kilometrów jazdy lecz półtorej godziny lotu. Brzmi lepiej. Za blisko na tęsknotę.

Dolina Aosty oswojona. Nauka gry na instrumencie zwanym ADAPTACJA przebiegła pomyślnie. Nieznośne rzępolenie ustąpiło miejsca plastycznemu, czystym dźwiękom. Każde z nas gra swoją melodię – ja na tutejszych szlakach, z klientami, a Filip na ukochanej ścianie. Życie stało się łatwe. Walka skończona.

Przynajmniej na razie.

IZA GRONOWSKA

